



SPÓR O RYMKIEWICZA

FRONDA

SPÓR O RYMKIEWICZA

[Kup książkę](#)

SPÓR O RYMKIEWICZA

WYBÓR PUBLICYSTYKI

pod redakcją
Tomasza Rowińskiego

FRONDA

[Kup książkę](#)

Copyright by Tomasz Rowiński & Fronda PL Sp z o.o.,
Warszawa 2012

Projekt okładki, opracowanie graficzne, skład
Teodor Jeske-Choiński

Zdjęcia na okładce i wkładkach
Marek Dakowski

Korekta
Paulina Jeske-Choińska

ISBN 978-83-62268-78-8

Wydawca
Fronda PL Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
fax (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwodronda.pl
www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

Druk i oprawa
Drukarnia im. A. Półtawskiego
ul. Krakowska 62, 25-701 Kielce

Wydanie I

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

[Kup książkę](#)

WSTĘP

Być może dla wielu czytelników tytuł niniejszego zbioru okaże się niewłaściwy. Zbyt szeroki w stosunku do tego co przynosi lub może niezbyt precyzyjny. Z pewnością jak każdy zbiór tekstów ma swoje ograniczenia. Piszący te słowa na początku prac nad książką także zastanawiał się, czy przygotowywany przez niego tom nie przerodzi się w nowy *Spór o Polskę*. Nie sposób bowiem odłączyć twórczości Jarosława Marka Rymkiewicza od pytań o formę polskości zarówno w jej wymiarze narodowym, jak i państwowym. Oprócz tego jednak, że Rymkiewicz znajduje się dziś w centrum wielu najistotniejszych dyskusji o dziejach i przyszłości Rzeczypospolitej, on sam jest tematem szeroko obecnym w mediach i debacie.

By nadać książce właściwy rytm i ton potrzebne było znalezienie klucza lub może osi, wokół której możliwe stałoby się nawijanie naszych polskich opowieści. Ich bogactwo zobaczyliśmy w ostatnich latach także dzięki twórczości poety z Milanówka. Poety, który najbardziej podniósł głos, pisząc prozą o trudnym do pomylenia stylu, w zawieszeniu pomiędzy esejem, encyklopedią, czy nawet powieścią. Pisarze, krytycy, publicyści podrażnieni pisarstwem Rymkiewicza zaczęli wydobywać z siebie myśli na tematy dość rzadkie w naszej refleksji — myśli o metafizyce państwa, istocie polskości, związkach tego co wieczne i tutejsze, przyziemne, jak ogród w Milanówku.

Początki powstawania tej publikacji to okres gorącego i na bieżąco relacjonowanego przez media procesu, jaki Agora, wydawca „Gazety Wyborczej”, wytoczyła Rymkiewiczowi. Oczywiście była pokusa, by książkę zbudować wokół tych wydarzeń, budzących wiele kontrowersji i emocji w szerokich kręgach

czytelników prasy codziennej, tygodników i Internetu. Jednak właściwą pracę w tym zakresie wykonał Grzegorz Braun, kręcąc dokument *Poeta pozwany* (dołączony na płycie do tomu). Książka potrzebowała innego punktu zaczepienia. Należało postawić sobie pytanie, kiedy zaczął się dostrzegany poza wąskim gronem krytyków literatury spór o Rymkiewicza.

Tym momentem bez wątpienia było pojawienie się wywiadów, których Jarosław Marek Rymkiewicz zaczął udzielać w drugiej połowie minionej dekady. Udzielał ich i wcześniej, jednak kryzys układu okrągłostołowego i reorientacja polskiej sceny politycznej, a także w jakiejś mierze intelektualnej po aferze Rywina, dała poecie nowe, niespotykane dotąd w Polsce siły. Burza głosów rozpętała się jednak dopiero, gdy ukazało się nakładem wydawnictwa Sic! zapowiadane już wcześniej *Wieszanie*. Burza trwa do dziś, a jej kolejne silne akcenty przypadały na premiery następnych tytułów autora: *Kinderszenen* i *Samuela Zborowskiego*. W książkach tych Rymkiewicz starał się ustanawiać nową polską mitologię, nie przejmując się dotychczasowymi ustalonymi ścieżkami myślenia, ignorując większość schematów takich czy innych poprawności — zarówno patriotycznych, jak i kosmopolitycznych. W *Wieszaniu* odsłaniał sens politycznej egzekucji, sens gilotyny i stryczka, której w Polsce nigdy nie było w stopniu, jego zdaniem, wystarczającym, by ufundować nowoczesne państwo. W *Kinderszenen* ukazywał Polskę dryfującą na granicy nieistnienia, doszukując się w tej kondycji istoty naszego historycznego trwania — tego ciągłego przebijania się do ligi „narodów historycznych”, w swej istocie wiecznych. W *Samuelu Zborowskim* opisał bezwzględny charakter wolności, która jest potrzebna, by prowadzić prawdziwie polskie życie. Tylko tyle i aż tyle. Wystarczyło to, by wzbudzić intelektualne tsunami.

Nie ma prawie w tej książce tekstów o Rymkiewiczu jako literacie. Nikt tu się nie spiera o poezję. To być może kolejny

przykład nieścisłości tytułu, ale z drugiej strony trudno znaleźć jakikolwiek inny właściwy, ponieważ w Polsce nazwisko Rymkiewicza oznacza spór. Nie ma też artykułów niektórych kojarzonych z poetą z Milanówka autorów. Jednak ku mojemu zdziwieniu podczas kwerendy nie odkryłem wśród ich prac interesujących fragmentów poświęconych pisarzowi. Inni nie znaleźli się tutaj, ponieważ niedawno opublikowali już swoje teksty w wersji książkowej.

Mimo tych wyjątków ten blisko pięciusetstronicowy tom stanowi wyczerpującą panoramę poglądów i krytyk na temat koncepcji filozoficznych i politycznych Jarosława Marka Rymkiewicza. Niewiele można by już tu dodać.

Szczególną wdzięczność jestem winien Grzegorzowi Górnemu, który rzucił pomysł na książkę. Bez jego inicjatywy nie doszłoby do jej powstania.

Tomasz Rowiński

Wieszanie

[Kup książkę](#)

MAGDALENA MICIŃSKA

SZUBIENICA A SPRAWA POLSKA. „WIESZANIE” WEDŁUG RYMKIEWICZA

„Tygodnik Powszechny” 04.03.2007

Pomysł, aby historyk ośmielał się recenzować literaturę, wydaje się na pierwszy, a nawet na drugi rzut oka co najmniej poroniony. Historycy lekceważą literaturę z wzajemnością. Nigdzie tego co prawda *expressis verbis* nie napisano, ale to my wiemy na pewno, my mamy monopol na źródła, tylko my potrafimy je odsiewać, odczytywać, weryfikować, obalać i aprobować.

Literat zaś — my, historycy, to wiemy — to taki gorszy, niedorobiony dziejopis, obdarzony może weną, ale niezdolny poddać się dyscyplinie, do której myśmy się nagięli na drodze żmudnych, czasochłonnych, tajemnych studiów.

Oni — literaci — chcą nas za to zdyskredytować. Jane Austen ustami jednej ze swych bohaterek współczuła historykom, którzy zadają sobie „tyle trudu ze spisywaniem takich ogromnych tomów, do których [...] nikt z własnej woli nie zajrzy”. William Golding pisał wprost: „Historia to banialuki. Historia polega na tym, że nic niewarci ludzie piszą o niczym”. Jeden Halldór Laxness dopuszczał istnienie pewnego powinowactwa pomiędzy literatami i historykami, nawet jeśliby to było powinowactwo w głoszeniu nieprawdy: „Różnica między powieściopisarzem a historykiem polega na tym, że pierwszy kłamie rozmyślnie dla przyjemności. Historyk natomiast kłamie, w swej naiwności wyobrażając sobie, że mówi

prawdę”. Ta wąta, bo wąta, ale jednak więc pozwala mi się podjąć pracy karkołomnej: sformułowania garści uwag na temat ostatniej książki Jarosława Marka Rymkiewicza *Wieszanie*. Zresztą jej autor sam mnie w pewnym sensie do odpowiedzi wywołał, antycypując w jednym miejscu słowa krytyki, jakie miałby wypowiedzieć „zawodowy, fachowy historyk, pracownik Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk” (mieszczącego się na warszawskim Rynku Starego Miasta, gdzie rozegrało się wiele z opisanych w książce scen). Nieco dalej zaś zwraca się wprost do mnie, swojej „ślicznej młodej czytelniczki”, która właśnie go czyta z wypiekami na policzkach. Ponieważ jestem jednym i drugim — siłą fachową oraz czytelnicką z tchem zapartym ciekawością — czuję się ostatecznie usprawiedliwiona.

SPAZMY

Rymkiewicz zresztą w *Wieszaniu* nie zamierza „kłamać rozmyślnie dla przyjemności”; przeciwnie, kilkakrotnie podkreśla, że trzyma się faktów i zasadniczy zrąb książki powstał w oparciu o zachowane źródła z epoki (pamiętniki i prasę z roku 1794, których lista została dołączona na końcu), zaś fantazja autora uruchamiana jest jedynie w tych momentach, kiedy źródeł po prostu brak. Rezultatem jest rekonstrukcja wydarzeń, jakie miały miejsce w Polsce (przede wszystkim w Warszawie) pomiędzy marcem a listopadem roku 1794. Rymkiewicza nie interesują jednak wszystkie dokonujące się wówczas zdarzenia — nie pisze o politycznej, militarnej czy społecznej historii insurekcji kościuszkowskiej, koncentruje się na gwałtownych spazmach, jakie wstrząsnęły Warszawą 17–18 kwietnia (walki z Rosjanami na ulicach miasta) oraz 9 maja i 28 czerwca (publiczne wieszanie zdrajców). Były to zresztą najbardziej fascynujące, ale i najbardziej odpychające epizody powstania. Kwietniowa insurekcja warszawska — w której masowo wzięło udział pospólstwo, rozstrzygając

o wygranej — stanowiła reakcję na faktyczny podbój kraju przez Rosjan, na ich arogancję i poczucie bezkarności, na żalosny upadek wielkich nadziei z roku 1791. Była to jednak — o czym dziś się na ogół nie pamięta — reakcja wściekle impetyczna i bezprecedensowo krwawa, zaś szlachetny odruch zgębnionego ludu łączył się na ulicach Warszawy z najgłębiej tłumionym, a wówczas nagle uwolnionym morderczym instynktem mas. Furia i bezwzględność Polaków, mordujących Rosjan w kwietniu, w dużym stopniu spowodowała okrucieństwo rzezi Pragi w listopadzie.

W równie mrocznych kręgach ludzkiej psychiki należy szukać przyczyn tytułowego wieszania. Tu ludowa furia zwrócona była nie przeciwko wrogom, rosyjskim jeńcom przetrzymywanym w warszawskich więzieniach, ale przeciwko własnym zdrajcom, targowiczanom, jurgieltnikom carycy Katarzyny, którzy utorowali Rosjanom drogę do kraju, do Sejmu, Senatu, komisji rządzących i na zamek. Dnia 9 maja powieszono w Warszawie cztery osoby, zaś 28 czerwca osiem; zwłaszcza wypadki czerwcowe były szczególnie dramatyczne: ofiary wywleczono z więzień, pędzono ulicami i powieszono bez sądu na szubienicach ustawionych w kilku punktach miasta. Znalazły się wśród nich także osoby całkowicie niewinne, przypadkowo wciągnięte w wir wydarzeń i usiłujące przeciwdziałać samosądom. Ani wówczas, ani obecnie nie ma pełnej jasności, czy, kto i dlaczego wywiódł tłum na ulice i spowodował do tak gwałtownych działań. Dopatrywano się intrygi zaborców (Rosjan lub Prusaków); częściej winę przypisuje się polskim jakobinom (być może główną sprężyną był ich patron Hugo Kołłątaj), którzy chcieli w ten sposób zradykalizować polską rewolucję na wzór francuski. Miejski lud Warszawy, ale także Wilna i Krakowa, wprost mówił o konieczności stracenia Stanisława Augusta i innych ówczesnych decydentów („My Krakowiacy — głosiła popularna piosenka — nosim guz u pasa, powiesim sobie króla i prymasa”).

ŻADNA ZEMSTY WARSZAWA

Główną siłą książki Rymkiewicza jest uwodząca czytelnika plastyczność opisu. *Wieszanie* to taki „spacerownik”, którego autor oprowadza nas po ulicach Warszawy — zarówno tej z roku 1794, jak i obecnej. Zabieg polegający na nano-szeniu na aktualną mapę miasta ulic, budynków i zaszłości sprzed ponad dwóch wieków sprawił, że na przystanku autobusowym przed Księgarnią imienia Prusa widzimy błyszczące pałasse, zaś z okien biblioteki IBL, w nieistniejącym jeszcze w 1794 roku pałacu Staszica, możemy dostrzec dyndające na szubienicy zwłoki. Rymkiewicz w sposób niezwykle przekonujący opisuje zarówno wydarzenia przerażające i krwawe, jak i drobiazgi, szczególnie życia codziennego, dla dzisiejszego czytelnika o wiele egzotyczniejsze niż obrazy z antypodów. Wiele miejsca poświęcono warszawskiemu pospólstwu, które — ostro przeciwstawione ówczesnym elitom — staje się (w życiu i w książce) zbiorowym bohaterem wieszania. Tłum na ulicach jest nie tylko zbiorowiskiem jednostek — przekupniów, murarzy, złodziei, prostytutek, konowałów, nosiwodów, skotopasów, służących czy szewców — ale jest zbiorowiskiem jednostek różniących się wyglądem, ubiorem i zachowaniem (wspólny jest tylko entuzjazm z powodu wieszania). Oprócz opisu szubienic i postronków znajdziemy w książce całe akapity poświęcone ubraniom wieszających i wieszanych — kaftanów, kapot, płaszczy, dziurawych pończoch, chińskich szlafroków, przybrudzonej bielizny, nakryć głowy o najróżniejszych barwach i kształtach, zarówno tricorne’ów tkwiących mocno na oficerskich uszach, jak i hipotetycznego kapelusza z postrzępionym piórkiem, rzuconego w tłum przez Józefa Ankwicza na chwilę przed egzekucją.

W tle widać fasady kościołów i pałace zrujnowane w kwietniu, gnój wywożony do Wisły na konnych karach, fabrykę atramentu i szuwaksu czy wreszcie hecę u zbiegu Brackiej

i Chmielnej, w której szczuto na siebie dzikie zwierzęta. Czytelniczce o pałających policzkach towarzyszy smród gnoju i beżładne śpiewy gawiedzi.

Co pewien czas Rymkiewicz zatrzymuje się, by pokazać jakiś szczególny fragment fresku, i te krótkie passusy sprawiają, że tekst jest jeszcze bardziej smakowity. Kapitalne są uwagi na temat różnic charakterologicznych pomiędzy warszawiakami i krakowianami, o podagrycznym paluchu konsula rosyjskiego w Warszawie — Igelströma, który decydował o polityce rosyjskiej w Polsce, czy o Marysi w zielonym gorseciku, czternastoletnim dziewczątku z prowincji, które zagubiło się w stolicy i było poszukiwane za pośrednictwem prasowego ogłoszenia. Los Marysi — można się go tylko z obawą domyślać, jak to czyni Rymkiewicz — staje się dla czytelnika równie ważny jak los króla.

Znalazło się jednak w książce kilka omyłek, przeoczeń i grubszych błędów, których wywołany do odpowiedzi historyk nie może nie zauważyć. Autor doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, że do relacji źródłowych należy podchodzić z maksymalną nieufnością, ale z upodobaniem przywołuje te, które (choć barwne) są szczególnie mało wiarygodne — zwłaszcza pamiątki dwóch znanych blagierów, Jana Kilińskiego i Jędrzeja Kitowicza. Z drugiej strony Rymkiewicz nie zna (a przynajmniej nie cytuje) innych źródeł, jak choćby wspomnienia Joachima Lelewela, zamieszczonego w jego *Korespondencji z Karolem Sienkiewiczem* (Poznań 1872). Poświęcone jest ono Kołłątajowi i doskonale współbrzmi z wywodami Rymkiewicza (zwłaszcza z imaginacyjnym zebraniem spiskowców, podczas którego rozpatrywana jest kwestia wieszania kobiet): „Miał on [Kołłątaj] dwunastu apostołów, młodzieży po wszelkiej kondycji towarzystwach krążącej, aby wyrozumiewać i tworzyć opinię”. Jeden z nich po latach zrelacjonował Lelewelowi „sesyjkę przy piwku ludu warszawskiego w 1794, przy której był obecny. Radzono po imieniu, po nazwisku, kogo z panów na

latarnię. Apostoł słuchał, potakiwał, a chcąc naradę odwrócić, wywrócić, wytacza skargi na panie, na fartuszki.

— Czyżby je stryczkiem?

— Nie, różeczką.

— A na wiele która zasłużyła?

Roją się koncepciki, śmiechy, i na śmieszkach się skończyło”.

Poza tym Rymkiewicz nie zna — można sądzić — kilku ważnych monografii poświęconych insurekcji i jej aktorom; wymienić tu trzeba zwłaszcza *Prasę i pisma periodyczne powstania kościuszkowskiego* Andrzeja Woltanowskiego (Białystok 1984; zamiast tego w książce cytuje się ogólną i nieścisłą pracę Jerzego Łojka), dwie książki Andrzeja Zahorskiego: *Ignacy Wyssogota Zakrzewski, prezydent Warszawy* (Warszawa 1979) i *Spór o Stanisława Augusta* (Warszawa 1988; to zapewne dlatego, że Rymkiewicz — w przeciwieństwie do Zahorskiego — Stanisława Augusta wyraźnie nie lubi), oraz *Sprzysiężenie Jakuba Jasińskiego* Zdzisława Sułka (Warszawa 1982).

Wytykanie *Wieszaniu* drobnych omyłek oczywiście nie ma sensu, nie jest to bowiem praca akademicka. Czasem jednak omyłki te wypływają właśnie z nieznamomości (zlekceważenia?) produkcji fachowych historyków. Tak jest w przypadku recesu od powstania, podpisanego 12 grudnia 1794 roku przez prezydenta Warszawy Ignacego Wyssogotę Zakrzewskiego (te wymuszone przez Rosjan deklaracje Rymkiewicz porównuje do lojalek, „które komuniści, w drugiej połowie XX wieku, podsuwali do podpisania Polakom”, s. 238) — wszelkie związane z tym okoliczności znajdują się w biografii pióra Zahorskiego. Tak jest też w przypadku pułkownika Jakuba Mustafy Baranowskiego (s. 53), którego autor nazywa swoim prapraprapradziadkiem i snuje domysły, czy po insurekcji wstąpił on do służby rosyjskiej — odpowiedź (pozytywną) na to pytanie odnaleźć można w książce Sułka. Tak

jest wreszcie w przypadku najpoważniejszego błędu merytorycznego w *Wieszaniu* — opisu okoliczności śmierci Michała Poniatowskiego, młodszego brata króla, prymasa Polski. Ten najinteligentniejszy z braci Poniatowskich, ale podobny im w zamiłowaniu do kochanek i luksusu, w roku 1794 i później oskarżany był o najgorsze przestępstwa, aż po wysłanie do króla pruskiego listu informującego, jak ominąć linie polskiej obrony i zdobyć Warszawę. Przekonanie to długo dzielił zarówno ogół, jak i profesjonalni badacze, a także autorzy słusznie patriotycznych, acz nieudolnych powiastek i sztuczydeł. Prymas-zdrajca miał — wedle kilku różniących się między sobą wersji — wyzionąć ducha w chwili wyprowadzania go na szubienicę albo umrzeć w wyniku zażycia trucizny podanej mu (za jego wiedzą lub bez) przez królewskiego brata. Tymczasem jest to jedna z tych wzniosłych bajek, które Polacy od wielu stuleci lubią sobie powtarzać, chronić, poprawiać i upiększać. Michał Poniatowski — jak dowiodła m.in. Zofia Zielińska w jego biogramie w 27. tomie *Polskiego Słownika Biograficznego* (z 1983 r.) — najprawdopodobniej zmarł w wyniku kilkudniowej choroby, zaś źródłem wszelkich informacji na temat jego zbrodni i kary są ludzie Hugona Kołłątaja (istnieją jednak całkowicie z nimi sprzeczne relacje pamiętnikarskie osób związanych z prymasem). Inna rzecz, że w atmosferze Warszawy latem 1794 roku — miasta otoczonego pierścieniem zdobywających je pruskich wojsk i świadomego, że ze wschodu nadciąga jeszcze większa potencja, miasta, które już wówczas głodowało, miało się od zwątpienia do nadziei, budowało swoją jedność, wspólnie sypiąc szańce, dyszało chęcią zemsty na zdrajcach i nieudacznikach, miasta, w którym ostatnio stracono li tylko prowodyrów wieszania z 28 czerwca — oskarżenia pod adresem jednego z czołowych ówczesnych dygnitarzy, a przy tym brata króla, były szczególnie chętnie podchwytywane.

CZYNNIK PSI

Król — obok pospólstwa — jest także jednym z pierwszoplanowych bohaterów *Wieszania*. Rymkiewicz Stanisława Augusta stanowczo nie lubi. Trudno mu się zresztą dziwić, Poniatowskiego w roku 1794 niełatwo było lubić. Fakt, że niegdyś doszedł do władzy na bagnietach wojsk rosyjskich i przez lata brał pensję od Katarzyny, był powszechnie znany, nawet jeśli kompromitujące go papiery ze zdobytej ambasady rosyjskiej udało się usunąć. Równie oczywistym było, że w 1792 roku poparł Targowicę, stając się ostatecznie marionetką w rękach rosyjskich ambasadorów, że w 1794 roku okazał się jeszcze bardziej na bakier z uczuciami większości podwładnych, niż to było dotąd, że insurekcji nie znosił i jej się bał, nie potrafiąc tej abominacji i tego lęku ukryć. Nie wiadano jeszcze, jak zachowa się w roku 1795 i później — no i może dobrze. W rezultacie więc Stanisław August w *Wieszaniu* to jedynie jurgielnik, intrygant, degenerat, krzywo uśmiechnięty bezpaństwowiec w szlafroku, gotów sprzedać ojczyznę w zamian za aktoreczkę (kilka aktoreczek?) i poczucie osobistego bezpieczeństwa; słowem — całkowite (pomijając kwestię kochanek) przeciwieństwo *Mojego przyjaciela króla* Józefa Hena. Co ciekawe, niechęć Rymkiewicza do króla rozciąga się także na jego morganatyczną (autor konsekwentnie pisze: tajną) żonę, Elżbietę Grabowską. Pojawia się ona na łamach książki czterokrotnie, niemal zawsze określana jako „ospowata” vel „dziobata pani Grabowska” (a czasem po prostu „dziobata”); kiedy jedyny raz zostaje przywołana bezprzymiotnikowo, nie pada nawet jej nazwisko.

Król był przekupny, pani Grabowska dziobata, prymas powszechnie nielubiany, zaś Kościuszko znajdował się poza miastem, prowadząc wojnę z dwiema potęgami i serdecznie pragnąc, aby wszystko udało się naprawić bez niczyjej krzywdy... Co więc spowodowało tytułowe wieszanie w maju i czerwcu 1794 roku, gdy pachniał bez i kwitła czeremcha, gdy lud

warszawski tak chętnie wylegał na ulice? Rymkiewicz — poświęcając wiele uwagi postaciom, które mogły wpływać na przebieg zdarzeń — uznaje jednak, że stało się tak, bowiem lud tak chciał, i nie jest to bynajmniej niekonsekwencja. Rzeczy straszliwe — te, które chcielibyśmy nazwać nieludzkimi — są wręcz kwintesencją ludzkości, bo nie mają swych odpowiedników w świecie zwierząt. Strony, na których Rymkiewicz pisze o nieuchronności śmierci wśród tłumów, o ludzkiej nieprzewidywalności — albo może o przewidywalności w tym sensie, że wszystko, cokolwiek można sobie wyobrazić na temat człowieka, jest uzasadnione — należą z pewnością do najlepszych fragmentów książki. O wieszaniu w Warszawie w roku 1794 nie zdecydował obcy wywiad, knowania króla, wysiłki jakobinów i obiektywne warunki polityczne, socjalne czy wojskowe. Wybuch został zdeterminowany przez niezrozumiały czynnik psi, coś, co towarzyszy ludziom od wieków i zapewne nigdy ich nie opuści. Ten cień, o którym boimy się mówić i myśleć, ale który przecież jest. Wpisany w naszą historię — i może nie tylko historię. Dostrzega to nie tylko genialny literat — ale także historyk jako tako otrząskany ze swoim fachem. Chichocząca śmierć na szafocie u schyłku XVIII wieku krążyła po Europie — autor widzi to wyraźnie (szkoda, że nie konfrontując tej wizji ze świetną książką *Ocet i łzy* Moniki Milewskiej, poświęconą terrorowi francuskiemu) — i zapewne, gdyby powstanie nie upadło, pochłonęłaby w końcu króla (prymas już nie żył), jego rodzinę, a może nawet przywódców insurekcyjnych z Ignacym Potockim i Tadeuszem Kościuszką na czele.

Jarosław Marek Rymkiewicz ukazuje nam warszawskie wieszania niczym w snopie jupitera, wydobywającym z mroku niepamięci miejsca i ludzi, trony i szubienice, zasługi i występki, adherentów i zaprzańców. W trochę prześmiewczy, a trochę zimno-poważny sposób żałuje, że do egzekucji Stanisława Augusta nie doszło, że Polska upadła, zanim mogła

należycie ukarać swoich zdrajców. W tym tkwi siła i słabość *Wieszania*. Siła — bo naród, który u zarania nowoczesności dopuściłby się królobójstwa, zapewne byłby inny niż ta smutna, śmieszna, zakompleksiona zbiorowość, do której dziś należymy. Słabość — bo światło jupitera pokazuje tylko wrywki, odcinając to, co w mroku. Rymkiewicz — twardo rozgraniczając nas i ich, bez względu na to, czy u schyłku XVIII, czy w drugiej połowie XX wieku — rani, kaleczy, przecina, krzywdzi. Być może nas to uleczy — jako „fachowy historyk” wątpię, choć oczywiście mogą się mylić. Wiem też, że w świetle jupitera widać tylko pół, a może nawet ćwierć prawdy. Wszyscy ci, których powieszono lub przewidziano do powieszenia w tej krótkiej chwili, zanim insurekcja załamała się na jesieni roku 1794, żyli także przedtem, przed wieszaniem kompletowali swoje zasługi i swoje przewiny.

W CIENIU SZUBIENICY

Stanisław August Poniatowski w smudze światła wije się i przegrywa, zgoda. Kłamał, kluczył, tchórzył, siedł na łatwiznę... no i na dodatek te kochanki! Ale absolutnie nie wolno nam zapominać o gigantycznej pracy nad modernizacją Polski (modernizacja to zresztą też słowo i zjawisko, które obecnie chętnie potępiamy, ale czegoś przecież trzeba się trzymać), o rozwoju sztuki (tam przeciekała istotna część rosyjskich pieniędzy, bowiem utrzymywani przez króla literaci i plastycy byli szczególnie kosztowni), o Komisji Edukacji Narodowej, o Szkole Rycerskiej (z której wyszli m.in. Kościuszko i Niemcewicz) oraz o innych zasługach króla — a zwłaszcza o Łazienkach, jednym z najpiękniejszych parków Europy, które, moim zdaniem, równoważą królewskie błędy i zaniedbania.

Podobne zastrzeżenia dałoby się sformułować w przypadku co najmniej kilku spośród powieszonych — i niepowieszonych — w roku 1794. Instygator Majewski był zupełnie niewinny i poniósł karę za to, za co od schyłku XVIII wieku piętnuje się

inteligentów — wystąpił przeciw woli tłumu i nie zdołał udowodnić swoich racji. W ten sam sposób rozpływały się racje innych straconych i innych oszczędzonych — jak choćby Fryderyka Moszyńskiego, królewskiego bękarta, którego niewątpliwe zasługi przypomniiał w świetnej biografii Łukasz Kądzioła (*Między zdradą a służbą Rzeczypospolitej*, Warszawa 1993). Ale w roku 1794 prawda nie obchodziła już niemal nikogo. *Vivat*, wołało wówczas warszawskie pospólstwo, chyba nie do końca zdając sobie sprawę, co znaczy ów czasownik. *Wieszanie* doskonale pokazuje, że prawda (o ile w ogóle istnieje) nie ma żadnej wartości w cieniu szubienicy, a i w spokojniejszych czasach jej kurs notuje się dosyć nisko.